

* **Noc we wschodnich Indjach.** Znane są z licznych opisów nadzwyczajne zjawiska natury temu tylko krajowi właściwe, z których niejedno może zmienione fantazją kilkuset pokoleń, przeniosło się aż do nas z odwiecznych podań narodów wyszłych z tamtąd na zaludnienie wielu kraju Europy (do tych liczą uczeni Litwę) i przybrało postać czarownej bajki.

Pułkownik *Aston* bawiący w czasie ostatnich wypraw angielsko-indyjskich w okolicy Szarwar opisuje zdarzenie przypominające nam żywo ustępy ze starych poematów indyjskich.

Znużony polowaniem, mówi *Aston*, rzuciłem się na ziemię zaścienioną wonnym kobiercem ziół tropikowych, by spocząć wśród snów na jawie, tak właściwych temu ciemnobłękitnemu niebu, tej narkotycznej wegetacji wśród wieczornego chłodu wiejącego jak lekkie technienie w powietrzu. Bylbym może spokojnie leżąc doczekał pory, gdy mi wracać wypadało do mego namiotu, lecz zbudził mnie przenikliwy krzyk pawia, lecącego ciężko ledwie łokcie nad ziemią tuż z po za mnie ku przeciwnym lasom.

— Mamże szukać złota, pomyślałem, czy puścić się za mądrym ptakiem?

Lud indyjski wierzy, że paw ma odrzą od złota, i gdzie tylko bliskość onego przeczuwa, wnet się zrywa pomimo swego lenistwa i odlatuje z takich miejsc. Lecz przypomniałem sobie oraz zdanie daleko prawdziwsze, że gdzie pawie tam i tygrysy nie daleko być muszą.

Nie strzelałem nigdy pawia, a chciwość myśliwego przemogła nad chciwością złota i przezorną ostrożnością; zerwałem się więc z mego miejsca i dopiero będąc w głębi lasu, postrzegłem, że tego właśnie miejsca należało najbardziej unikać. Strzeliwszy dwa razy spłoszyłm przepysznego pawia. Odleciał i zniknął.

Idąc za nim trafiłem na miejsce zacienione nad źródłem, a na piasku podejrzałem ślady zwierzęcia. Wiem, że lampart i pantera lubią podobne miejsca, postanowiłem zatem wrócić. Ale zaledwie postąpił ze czterdzieści kroków, gdy mnie głośnie ryczenie ostrzegło o bliskim niebezpieczeństwie. Rzeczywiście ujrzałem niedaleko tego miejsca z kąd dopiero wstałem, dwie ogniste kule; były to oczy czatującego przy ziemi potwora, ukrytego za krzakiem akacji i chłostającego ziemię ogonem.

— Ile mogłem obliczyć na pierwszy rzut oka, mogło być zwierze o dwa kroki odemnie oddalone. Broń miałem nabitą, lecz nie kulami; po prawej ręce miałem kilka lepszych jabłoni, od których mnie dzieliła mała przestrzeń zkopana i zarzucona zdartą darnią i gałęziami. Najbliższa jabłoni wydała mi się stosownym punktem obrony, postąpiłem więc ku niej, lecz tu inne niebezpieczeństwo groziło; zaledwie bowiem stanąłem na porozrzucanej darni, zaczęła się ugiąć ziemia pod stopami i spostrzegłem, że stoję nad jamą pokrytą gałęziami i ziemią. Była to łapka na tygrysa, która mnie uratowała od śmierci. Przeskoczyłem bowiem lekko to niebezpieczne miejsce, tygrysa skoczył wprawdzie tuż za mną, lecz będąc już tylko na pół łokcia zbliżonym do mnie zapadł się tylną częścią ciała w jamę; przedniemi zaś pazurami zarył się w ziemię, na brzegu jamy. Wśród okropnego ryku czułem gorący oddech jego. Jego ogniste czerwone oczy tak dziwnie na mnie działały, iż musiałem pomimo odrazy i strachu mimowolnie ciągle patrzeć na tę okropną postać. Przytem widziałem, że już się z jamy wydobywał i niebezpieczeństwo się wzmagalo. Z ostatniem wyciśnięciem sił moich podniosłem strzelbę i celując w oko zwierzęcia, wypaliłem. Tygrys runął z okropnym wyciem do jamy, ja zaś pełen dziękczynienia za ocalone życie padłem na ziemię, nie będąc w stanie trzy-

mać się na nogach. Jednakże każda zwłoka była niebezpieczną.

Słońce już było bliskie zachodu. Ruszyłem więc z powrotem do domu, lecz niepamiętając dobrze drogi, zapuszczałem się coraz głębiej w las, aż wreszcie stanąłem przed wejściem do jakiejś jaskini, a obawiając się trafić znowu na siedzibę tygrysów lub innych podobnych stworzeń, zacząłem się drapać na pagórek, będący niejako sklepieniem jaskini. Musiałem się drapać rękami i nogami po śliskiej trawie, usłyszawszy zaś jakiś stłumiony odgłos mowy ludzkiej w chwili gdy się wstrzymałem by lepiej usłyszeć, ustąpiła ziemia podemną, ja wpadłem między towarzystwo ludzi, które nie mniej przestraszone odemnie powitało mnie ogromnym krzykiem i przekleństwami, wołając jedni: „Tygrys!” drudzy „djabek” inni „strach.”

Przyszedłszy wreszcie do siebie, postrzegłem iż się znajduję w towarzystwie dwojga ludzi i chłopca zajętych przy wiejskim ogniu destylowaniem przemyczonego araku.

Opowiedziałem moją przygodę z tygrysem i ucieszyłem mocno biednych ludzi wiadomością o złapaniu tegoż. Przez wdzięczność za to, wskazano mi moją drogę od której odszedłem prosząc o zachowanie tajemnicy ich schronienia.

Idąc dalej zatrzymałem się zachwycony czarowną grą natury. Tysiące głosów najdziwniejszych obijały się o moje uszy, niezliczone owady, dzieci nocy, napępiały powietrze, które mnie przyjemnym chłodem pokrzepiało: smrodliwa zielona pluskwa plątała się we włosach moich, moskitosy brzęczały zgłodniałe około mnie, a duże białe émy pchały się uporeczywie do ocz moich, mając je zapewne za jakąś błyszczącą łakotkę; świerki i szarańcze świezczały głośno w około, czasem się sowa zerwała, a przechodząc przez strumyk spłoszyłem stado dużych białych czapli wyglądających jak kolumna białych duchów. Z daleka gdzieś bąk zahuczał, a skrzeczenie żab dopełniało ten dziwaczny koncert, oświetlony środ ciemności firmamentu mnóstwem ognistych muszek, błyszczących jak latające djamenty, lub uwisłych po gałęziach jakby krople rosy djamentowej, rubinowej i szmaragdowej.

Nagle ziemięniło się zupełnie, wszystkie głosy ucichły i światła zgasły, jakby na rozkaz jakiejś niepojętej czarodziejkiej władzy, najgłębsza cisza i ciemność opanowała mnie; było to milczenie natury poprzedzające w tych krajach, zwykle wschód księżyca. Niepodobna było iść dalej, znużony więc i odurzony mocnym zapachem wiejącym wraz z chłodnym wiatrem od złocistego kwiatu drzewa *bebus*, (z którego gumę arabską zbierają), uwolniony wreszcie od prześladowań owadów zamyslałem zadrzeć broń w kolano trafia. Chwyciwszy się w tem miejscu za nogę nadybałem istotnie jakiś długi ostry kolec; myślałem zrazu iż to jest koniec strzały, lecz było tylko kolec jeża.

Płochliwe to i rzadkie zwierzątko zaważdziło snąc o moją nogę i pozbawiło się jednego z tych ładnych kółców używanych od Indjan do robienia ozdoby koszyków.

Położywszy się wreszcie na suchej wonnej trawie, usnąłem tak twardo i słodko jak nigdy w mem życiu. Lecz we śnie już miałem dziwne przeczucie grożącego niebezpieczeństwa i czułem, iż dla uniknienia go najlepiej jest leżeć spokojnie zupełnie bez ruchu. Jakis cień przesuwiał się nademną a na nogach ciężył ogromny żyjący łańcuch tak iż niepodobna było ruszyć nogą. Dopiero gdy się zupełnie przebudził, dostrzegłem z największym przestraszem, iż waż ogromny przytłoczył nogi moje aż po kolana.

Krew się ścisła w żyłach a wewnątrz coś mówiło: „Ach Boże! jestem zgubiony.” Wąż spał a ja drzałem, lecz

tylko wewnętrznie, gdyż obawa zbudzenia potwora niedozwalała najmniejszego ruchu. Wtem rozjaśniło się niebo, księżyc zeszedł i gwiazdy okazały się nademną, wtedy odważyłem się spojrzeć na okropnego śpiącego sąsiada. Lecz nowy strach przybył.

Usłyszałem dziwne mruczenie za sobą i głośne stąpanie, waż się obudził i posunął się aż na moje piersi. Walka ze strachem przyprowadzała mnie prawie do szaleństwa, widziałem się już zgubionym. Wśród tej największej trwogi skoczyło coś na mnie, na ramię, a potem na węza. Zaczepiający poczał przeraźliwie krzyczyć, waż odpowiedział na to przenikliwym syczeniem. Chwilę czułem ich walkę na moich piersiach, lecz po chwili byli już koło mnie na trawie; wreszcie odsunęli się dalej w zaciętej bitwie. Był to ichneumon, waż zwany, *cobra de capelo*; wstałem aby się przypatrzeć. Było już jasno jak w dzień. Chwilę stali naprzeciw siebie, lecz czarujać wzrok jadawitej gadziny, okazał się bezwładnym naprzeciw bystremu i przenikającemu spojrzeniu ichneumona. Rzucili się jeszcze raz na siebie. Ichneumon raniony odbiegł zapewne by znaleźć roślinę, gojącą ukąszenie tego węza, ludziom dotąd nie znaną. Powrócił i nowymi siłami uderzył na węza, który w krótko, będąc dotychczas wyprostowany jak słup, padł bezwładny na ziemię z przytłumionym sykiem. Dziwny zwycięzca okazywał radość swoją tańcząc w największych poskokach po ciele swego przeciwnika, przyczem mruczał i parskał, na sposób wściekłego kota.

Teraz już prędko znalazłem drogę do namiotu; nie niepotrzebuję opisywać jak mi smakowała wieczera, chociaż tak późno spożyta, i jak dohrze spałem po tych trzech przed północą przebytych przygodach.

*** Co kraj to obyczaj.** Jeden z ziomeków naszych lekarz Z. przyjechał do Ameryki, chcąc się ustalić w Nowym Yorku czy gdzie indziej, bo mniejsza o miejsce. Najawszy pomieszkawie i kupiwszy meble, potrzebował usługi, bo nasz ziomek choć lekarz, ale szlachcic rodem, bez lokaja obejść się nie mógł. Już dosyć się naciępał, że w Ameryce nie znalazł ani jednego żyda faktora. Siedząc w oberzy przy table d'hôte, zauważał grzecznego bardzo sąsiada, fiesz ubranego, który z nim rozmawiał. Przyszło więc mu na myśl, zwierzyć się sąsiadowi z potrzebą lokaja.

— Jakto lokaja? zapytał greczny amerykańnik.

— A takiego coby mi usługiwał w domu; ja bym chętnie dobrze zapłacił, ale żeby to był człowiek pilny wierny i trzeźwy.

— To być łatwo może. Ja sam mogę.

— Jakto pan dobrodzieju chciałbyś.

— Zrobimy kontrakt... umówimy się o zajęcie i cenę, i pan będziesz ze mnie zadowolony.

Lekarz zdumiał się nieco, ale szlachcicowi pochwlebiało mieć tak porządnego lokaja.

Zrobili tedy najkompletniejszy kontrakt, wymówiwszy nawzajem wszystkie najdrobniejsze szczegóły, czasu i zajęcia. Amerykanin jak najpilniej wypełniał wzięte na się obowiązki, przychodził w czas, czyścił buty, suknie, zamiatał pokoje, aż miło tak porządnie i regularnie. Lekarz nie miał mu nic do zarzucenia; jedna tylko mu się rzecz nie podobała. Ozwala się w nim szlachecka natura, i zawadzało mu to że pan lokaj w niczem się przed panem swym nie żenuje, i tak sobie sans facon, siada kiedy mu się podoba, w negliżu przychodzi wielkim, ba nawet w czapce chodzi po pokojach, niezważając na obecność pana.

— Słuchaj no panie Willy; jestem zupełnie z ciebie zadowolony, ale uważasz, czybyś nie mógł usługiwać z gołą głową.

— Jakto bez czapki? spytał lokaj.

— A tak!... bo to jakoś nie przystoi.

— Nic łatwiejszego! odrzekł Willy. Dasz mi pan miesięcznie 5 dolarów więcej, a ja służbę swoją bez czapki odbywać będę.

Lekarz przeważał szlachcica, i lokaj czapki przy służbie nie zdejmował.

Tak rzeczy czas jakiś stały, gdy raz jednego pan Z. ciekawością zdjęty poszedł na jakiś meeting polityczny. Zdało mu się że spostrzegł tam swego lokaja, lecz nie był pewny tego. Wróciwszy wszakże do siebie, po raz pierwszy zastał pokój nie uprzątnięty i nie zamieciony. Właśnie rozmyślał nad możliwą tego przyczyną, gdy nagle wpada Willy, zdyszany i spocony, i zawsze z czapką na głowie. Rzucił kilka dolarów na stół, i rzekł do zdumionego lekarza — szlachcica:

— Ja będę przez dni kilka zajęty, i zapewne nie będę mógł przyjść; za te dni należy się panu będzie trzy dolary, i te oto przynoszę; a zarazem postarałem się o zastępcę.

— Cóż za dódown?..

— U nas są teraz zgromadzenia wyborcze na deputowanych do kongresu.

— I chcesz być przytomnym?

— Naturalnie jestem wyborcą, a nawet sam mam nadzieję, że zostanę wybranym deputowanym na kongres. Jeżelibym nie został wybrany, wróć zaraz do pana pełnić dalej służbę swoją. Jeżelibym jednakże został depntowanym, pan na tem nie stracisz, bo ja dam zastępcę na cały czas mojej politycznej misji.

Nie było nic na to do powiedzenia. Pan Z. pomyślał tylko sobie.

— Dziwne obyczaje! mój lokaj płatny przezemnie, nie chce czapki przedemną zdjąć; a jeżeli zostanie deputowanym, to ja będę podobno musiał czapkować przed nim.

*** Wiejskie sprawunki.** Niema jak robić cudze sprawunki! kto doświadczył tej przyjemności miejskiej odbierania złeceń ze wsi częstych a rozmaitych przypomni sobie zapewne, jakim wzrokiem spoglądał na listonosza wehodzącego z nowym ze wsi listem. Gdyby oczy były sztyletami, lub jad miały w sobie zabójczy, biedny listonosz wnet by skończył swój zawód. Pan X. był jednym z owych szczęśliwych ludzi, obdarzonych mnóstwem kuzynów i kuzynek na wsi mieszkających, którzy zupełnie mieli w nim zaufanie. A wszyscy kuzynowie i kuzynki stare i młode (już to między kuzynkami zwykle stare i brzydkie przeważają) kochali go serdecznie, chwalać na wyścigi jego grzeczność, poczciwość i usługowość. Niebyło tygodnia prawie, żeby pan X. nieodebrał nowego dowodu pamięci kuzynowskiej, który mniej więcej takiej bywał treści: „Najukochańszy kuzynku! Donoszę ci żeś zdrowa, ale twój synek chrestny na żabki cierpi; niemniej przeto kochamy cię zawsze, i mój mąż także, który nie może zapomnieć lube go twego u nas pobytu. Mam też małą prośbę do ciebie; kup mi tam pięć łokci atlasu, w kolorze dzikim na mantyle, albo może lepiej lustryny, bo nie wiem czyby aksamit nie był za ciężki. Wyobraź sobie że mój azorek od kilku dni nie zdrow i kicha. Może masz jakiego doktora co się zna na tem. Pójdź też tam do niego, i przyslij mi co na to. To taki ładny piesek; pamiętasz jak z nami latał, i jak się łąsił koło ciebie. Ale proszę ciebie mój kuzynku żebyś nie był drogi a ładny i lustryny; i mniejsza o jeden łokieć więcej. Za widzeniem się oddam ci pieniądze. Za widzeniem się! daj boże, by to jak najprędzej nastąpiło; wszak przekonany jesteś drogi kuzynku o przywiązaniu mojem którego przyjmij najczulsze wyrazy.” Następuje jeszcze postscriptum. „O niezapomnij krepinek łokci 15, i aksamitek także z 18 łokci. Co do atlasu, uważaj jaki kolor najmłodniejszy i mnie do twarzy. Wszak najlepiej potrafisz to osadzić; nieprawdaż.” i kończy się trzema wykrzyknikami.

Pan X. skrobał się w głowę, lecz cóż robić? jakże odmówić czulej kuzynce? Owoż raz jednego przychodzi do pana X. który prócz mnogich kuzynostw, jakby dla wynagrodzenia miał mnoga klientellę, bo był doskonałym prawnikiem. Miałem z nim pomówić na osobności, lecz zastałem go zajętym, a zajętym dziwnie.

W salce dość wielkiej stało ludzi kilkunastu, którzy nie wyglądali na zwykłych klientów. Twarze zakazane ogo-

rzale; wielka przewaga nosów czerwonych, a w ubiorach wyraźna tandeta. Lecz to nic jeszcze. Pan X. w szlafroku, biega jak szalony pomiędzy nich, mierzy każdego okiem naprzód, potem przysuwa się doń bliżej, i sznureczkiem coś mu koło pleców i brzucha przymierza. Rudy faktor kręci się koło niego powtarzając:

— Ten będzie dobry! adekurat! fein!..

— Głupis! odpowiada pan X. Jak na złość pobierałeś mi szczególną hałastę.

— Ten za gruby! stan krótki!.. tu ręce za długie! I ciągle biega i przymierza, aż się spocił biedaczek.

— Dziwne zatrudnienie dla prawnika pomyślałem. Już ciż może mu się nieraz udało skroić komu kurtę, ale żeby się dla tego miał zajmować krawiectwem. Może i przyjdzie do tego, ale teraz jeszcze dosyć roboty z indemnizacjami.

— Do niczego jesteś Moszku! krzyknął wreszcie zniecierpliwiony.

— Jak to do niczego odpowiedział faktor urażony; to jegomościna miara winna.

— Zabierz ich sobie i przyprowadź innych, ale prędzej.

— Dziękujemy jegomości za łaskę! ozwał się jeden ze zmierzonych, ten właśnie co miał ręce długie, a nos karmazynowy. Ale my sobie niemało czasu zmarnowali... a to człowiek na czczo.

— Oj prawda! powtórzyli wszyscy chorem uśmiechając się i drapiąc w głowę.

— Daj im tam Moszku na wódkę! krzyknął pan X. i po wyjściu gości swoich rzucił się na sofę, ocierając czoło.

Zdziwiony i ciekawy spytałem go co to ma znaczyć?

— Lokaja dobieram dla mego wujaszka z Przemyśkiego.

— Jaki do miary?..

— A już ciż do miary. Wujaszek ma tam jakąś liberrę na kółku, i prosił mnie bym do niej dobrał człowieka na lokaja.

— A to miłe zajęcie! winszuję ci!..

I głośnym oba parsknęliśmy śmiechem.

* Tego roku nadzwyczaj liczny zjazd jest w Truskawcu. Przeszło 1200 osób bawi tam w kąpielach.

Przyjechali do d. 28. lipca do Lwowa.

PP. Felix hr. Karnichi z Rożniowa. Wawrz. Sosnicki z Radziechowa. Jan Michałowski z Zadworza. Ambr. Neupauer z Lubienia. Wład. Augustynowicz z Kniaz. Fr. Leszczyński z Przemyśla. Hel. Alexiewicz z Nemeżak. Jan Busse z Krakowa. Ant. Stasiński z Lubienia. Leop. hr. Starzeński z Podkamienia. Edw. hr. Dzieduszycki

z Budyłowa. Karol Kröbl z Stynaw. Alexander i Michał Gnoinsoy z Druszkopola. Wład. Lewakowski z Mikołajowa. Julian Czermiński z Głinska. Raf. Łępkowski z Czaszyna. Piotr Smarzewski z Moczerad. Mik. Horoszkiewicz z Krysowic. Mich. Wartarasiewicz z Pragi. Tytus Komar z Krakowa.

PP. Stanisław Sobieski z Żółkwi. Ludw. Croisé z Przemyśla. Jan Łukasiewicz z Pragi. Jul. Horoszkiewicz z Łopatyna. Teod. Ziemialkowski z Somenowa. Jan Kokowski z Berezowicy. Wikt. Wyszniński z Strzelisk. Adolf Schmidt z Wisienki. Ign. Piechowski z Sokala. Teofil Januszewski z Ubińca. Fel. Pietrzycki z Stanisławowa. Jakob Sawczyński i Jan Towarnicki z Jaworowa. Ludw. Mayer z Lubienia. Edw. Bogdanowicz z Krakowa. Jan Thulie z Rzepniowa. Mat. Szarga z Mikołajowa. Karol Jagielski z Jabloniey ruskiej. Fel. Skupiński z Żydaczowa. Hugo Firich z Średniej wsi. Tomasz Kochański z Lacka.

Wyjechali do d. 28. lipca ze Lwowa.

PP. Józ. Podlewski do Brzeżan. Józ. Zawadzki i Gabr. Jaryczewski do Tarnopola. Felix Oelberg. Jakób Sawczyński i Jan Towarnicki do Janowa. Kar. Paszelski do Suszna. Leon Sosnowski do Zadworza. Jan br. Brunicki i Fryd. br. Rothenberg do Żółkwi. Henr. Ernstein do Krosienek. Edw. Bogdański do Zabłotoma. Wład. Zawadzki do Przemyśla. Henr. hr. Mier do Derewaczka.

PP. Piotr Karaszyński do Welina. Lud. Niezabitowski do Nakła. Adam Kowalski do Birczej. Wen. Cieszanowski do Stempkowej. Edw. hr. Krasicki do Liska. Fel. hr. Czacki do Krechowa. Osw. Mochnacki do Łańciana. Kaj. Eminowicz do Smerekowa. Jan Skalkowski do Strzyja. Jan hr. Dzieduszycki do Siechowa. Piotr hr. Krasinski do Rohatyna. Wład. Strzelecki do Zarwanicy. Jul. Czermiński do Głinska. Raf. Łępkowski do Czaszyna.

Kurs telegrafowany z Wiednia 28. lipca.

Augsburg za 100 złr.	102 $\frac{2}{3}$	Pożyczka 5%	83 $\frac{1}{2}$
Hamburg za 100 tal. banco	15 $\frac{1}{2}$	Akcyje banku	1093
Londyn za 1 funt szterl.	10.4	Kolej północna	2850
Medyolan za 300 lirów	102 $\frac{1}{2}$	Obl. ind.	77
Paryż za 300 franków	419 $\frac{3}{4}$	Nowa pożyczka z loteryą	105 $\frac{1}{2}$
Agio duk. ces.	7 $\frac{1}{2}$	Pożyczka narodowa	85 $\frac{1}{2}$

Dzisiejszy kurs lwowski.

	Gotówką	towarem
	złr. kr.	złr. kr.
Dukat holenderski	4 40	4 45
Dukat cesarski	4 46	4 50
Półimperyal zł. rosyjski	8 12	8 18
Rubel papierowy	—	—
Rubel srebrny rosyjski	1 35	1 36
Talar pruski	1 29	1 31
Polski kurant i pięciozłotówka	1 9	1 10
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	81 40	82 10
Galicyjskie obligacje indemnizacyjne bez kuponu	76 15	77 40
5 proc. pożyczka narodowa	85	85 50
Srebro	—	—

INSERTATY.

Do P. T. Rodziców i Opiekunów.

Zaufanie, jakim mnie rodzice i opiekunowie przez osmnastoletni przeciąg utrzymywania konwiktów żeńskiego w Tarnowie zaszczytali, ośmiela mnie, przy zmianie stosunków rodzinnych, przenieść mój konwikt za pozwoleniem W. Rządu do Lwowa. Tuszę sobie, że i tu, jako żona, matka dwóch córek, i tytoletniem doświadczeniem wsparta przewodniczką w nauce i wychowaniu panienek jak najstarszym, pozyskam zaufanie, a zarazem, czego najuślisniej pragnę, zasługę według sił moich, dla ludzkości położyć. W tym to celu podaję do wiadomości powszechnej, iż utworzyłam konwikt wychowania i kształcenia panienek przy placu Dominikańskim pod liczbą 181. Pragnę rodzicom i opiekunom podać jedną z więcej sposobności umieszczenia córek i kształcenia tychże, do czego mię wiedzie przekonanie, iż pozyskane dawniej zaufanie nauczycielki i

zastępczyni rodziców, gorliwem i sumiennem pełnieniem obowiązków urzędni potrafię.

Program konwiktów mego, wyszczególniający zakres nauk i porządek domowy, równie jak i warunki przyjęcia do konwiktów tak na miejscowe jako i dochodnie uczennice, doręczę przy zgłoszeniu się P. T. Rodzicom i Opiekunom.

Konstancja Łazowska,

(Nr. 27. 4) właścicielka konwiktów.

Z przyczyny wyjazdu są do sprzedania:

meble, naczynia kuchenne i garderoba

jako to: suknie, mantyle, szale, zarzutki i inne pomniejsze rzeczy, w rynku pod l. 238 w domu p. Krajczyckiej co dziennie od rana do pierwszej godziny zpołudnia.

(Nr. 71. 2-3.)

Wypożyczalnia książek **KAROLA WILDA**

WE LWOWIE

w rynku na rogu ulicy dominikańskiej
wydała z druku

nowy 3ci DODATEK DO KATALOGU swego głównego.

Dodatek ten zawiera wszystkie dzieła nowo do wypożyczenia przeznaczone od Października 1853 do końca Grudnia 1855, mianowicie *wszystkie powieści i romanse* w tym czasie wydane.

Cena abonamentowa:

za książki polskie lub niemieckie miesięcznie 1 złr.

francuzkie 1 . 30 k.

Szczegółowego spisu warunków abonamentu dostanie bezpłatnie w księgarni KAROLA WILDA, na prowincję posła się takowych franko każdemu kto tego we frankowanym liście zażąda. (5.)

(Nr. 65.)

W księgarni

(5-6.)

Karola Wilda

we Lwowie:

dostać można świeżo wyszłej z druku powieści:

RODZINA KONFEDERATÓW.

1. Obrazek: Pan Starosta Warecki.

przez K. S. Bodzantowicza.

We Lwowie, w drukarni Zakładu narodowego imienia Ossolińskich. 1856.

Karta napisowa. Przedmowy stronnic VI. Powieści stronnic 125 w 8ce. — Cena jednego egzemplarza 45 kr. m. k.

Do sprzedania.

1. **Zbiór książek**, składający się z kilkuset dzieł, odnoszących się prawie wyłącznie do historii i prawodawstwa dawnej Polski; zawierający: rzadkie i najrzadsze wydania dawne kronikarzy, historyków, heraldyków, zbiorów prawa, etc. jakoteż i późniejsze prace w tych zawodach, wraz ze zbiorkiem autografów, dokumentów prywatnych i publicznych osób, słynnych w naszej historii z XVII. i XVIII wieku.

2. **Zbiór monet** dawnej Polski, liczący 800 monet różnych sztemplem i przeszło 200 duplikatów, zawierających wielkie rzadkości, umiejętnie ułożony, w stosownej do tego szafce o 50 szufladkach wraz z dziełami numizmatycznymi.

Zbiory te starannie przez długie lata powiększane można razem lub pojedynczo nabyć. Bliższej wiadomości jakoteż katalogu do przejrzania udziela redakcja Dziennika literackiego. (Nr. 42. 3.)

(Nr. 74.)

W księgarni

(1.)

H. W. Kallenbacha

we Lwowie

Anglia dziś i dziesięć lat temu. Wspomnienia z podróży po Anglii przez autora podróży po Danii, Szwecji i Norwegii it. d. w 8ce dużej. Warszawa. 1851. 4 złr.

Dziennik podróży do Tatrów, przez autora Sobótki. w 8ce dużej. Petersburg. 3 złr. 30 kr.

Baka odrodzony. Uwagi o śmierci niechybnej wszystkim pospolitej, przez X. Bakę. Z przedmowami R. Korsaka i L. Borowskiego na nowo z jedną jeszcze przedmową i znalezionymi skryptami po X. Bace wydane przez Władysława Syrokomlę. w 12ce. Wilno 1855. 2 złr. 24 kr.

Stara Panna Powieść współczesna, przez Kazimierza Bujnickiego, w 8ce. Wilno 1855. 3 złr.

Historia powszechna Cezara Caetu, przełożona przez Leona Rogalskiego. Tom I. — 8. w 8ce dużej Warszawa 1853 — 1855. 49 złr. 48 kr.

Postępowi. Powieść przez Henryka Cieszkowskiego. w 12ce Warszawa 1855. 2 złr. 24 kr.

Historia nowożytna. Ciąg dziejowy od odkrycia Ameryki aż do rewolucji francuzkiej, przełożył na język polski L. J. Nowc wydanie. 2 tomy, w 8ce Warszawa 1854. 5 złr. 24 kr.

Powszechne Ziemioznawstwo czyli: opisanie budowy i składu ziemi, jej stosunku do wszechświata, tudzież najważniejszych i najciekawszych na niej zjawisk przez Dr Fr. W. Hoffmana. Przełożył z niemieckiego P. L. Leśniowski. Z 4ma chromolitograficznymi rycinami i wielu drzeworytami w 8ce dużej Warszawa 1853. 6 złr.

Magdalena, czyli poświęcenie młodej wieśniaczki. Powieść ludowa z prawdziwego zdarzenia Julii Kavanagh. Przekład wolny przez Eleonorę Ziemiecką. w 12ce Warszawa, 1855. 3 złr.

Kawaler w rezerwie. Komedia w trzech aktach. w 8ce dużej. Poznań 1855. 1 złr.

Diabeł. Powieść z czasów Stanisława Augusta, przez J. I. Kraszewskiego. 4 tomy we 2ch. w 12ce. Wilno 1855. 6 złr. 36 kr.

Ładawa Pieczara. Obrazek wiejski. przez J. I. Kraszewskiego. w 12ce. Wilno 1852. 2 złr. 15 kr.

Powieści i opowiadania Józefa Korzeniowskiego. Seria druga: Scena na balu. Pojedynek. Cena: 2 złr. 24 kr. m. k.

Serya trzecia: Jedynaczka.. Dwa śluby. Cena: 2 złr., 24 kr. m. k.

Słownictwo chemiczne polskie, przez Teodora Teofila Mateckiego. w 8ce dużej Poznań 1855. 1 złr. 40 kr.

O Trawach i ogółowem z nimi postępowaniu na zasadach z praktycznych doświadczeń zebrane przez Henryka ze Sławna Sławińskiego. Oraz: karma dla bydła jej względna wartość i czym można kartofle zastąpić, przez Hipolita Nędzowskiego, w 8ce Wadowice 1855. 1 złr. 24 kr.

1000 potraw, ciast i wetów. podług najbieglejszej kuchmistrzów, z dooaniem kilku słów o usługach stołowej. w 8ce Warszawa 1854. 2 złr. 24 kr.

Nowe Ramotki, czyli skuteczne lekarstwo przeciw nudom i złemu humorowi. Zebrane z dzieł rozmaitych, a w części oryginalnie napisane przez W. S. w 8ce Warszawa 1855. 4 złr.

Córa Pias, ów. Powieść wierszem z dziejów litewskich. przez Władysława Syrokomlę. Z muzyką St. Moniuszki. w 8ce. Wilno 1855. 1 złr. 48 kr.